

A. NOVEMBER

Mój Cud

Copyright© Tekst by A. November
Copyright© Wydawca A. November
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE, ŚREM 2025

Redakcja: Agnieszka Dudek
Korekta językowa: Agnieszka Dudek
Projekt okładki: Agnieszka Dudek
Zdjęcie: Stock Pictures
Łamanie, skład i konwersja plików:
Małgorzata Wiśniewska (@fabryka.skladu.ksiazki)

Wydanie 1

ISBN: 9788396498984



Śnieg przószył gęsto, jakby chciał zasypać cały Manhattan i wszystkie ludzkie grzechy razem z nim. Zimne światło odbijało się w marmurowych korytarzach sądu. Lena Carrington za chwilę miała pozbyć się na zawsze tego nazwiska, zostając starą Leną Smith – tylko czy naprawdę wraz z nazwiskiem wróci ta sama roześmiana i zachwycona życiem dziewczyna? Trzymając w dłoniach teczkę z dokumentami, trzymała się nadziei, że tak właśnie będzie, że poradzi sobie, doświadczona o własne błędy i wyciągnięte z nich lekcje. Obok niej stała jej adwokatka Samantha Hale – wysoka kobieta o bystrych oczach i głosie, w którym brzmiała pewność.

– Dzisiaj kończymy ten koszmar, pani Carrington – powiedziała cicho. – Sąd nie przyjął sprzeciwu męża. Dowody są niepodważalne.

Lena skinęła głową, choć nie czuła żadnej ulgi.

– Nie chciał dać mi rozwodu. Przysięgał, że mnie zatrzyma, choćby siłą.

– I właśnie dlatego go pani dostaje – odparła Samantha spokojnie. – Po obdukcji, po zeznaniach sąsiadki pani teściowej, nie miał szans.

– Nadal nie wiem, która sąsiadka złożyła zeznania... Czy jej dane nie powinny zostać ujawnione?

– Nie do publicznej wiadomości, ale prokurator musiał je poznać, stąd też dopuścił jej zeznania w sprawie, jako dowód.

– Rozumiem. – Lena przytaknęła. – Tak bardzo chciałabym jej podziękować... Może kiedyś mi się to uda. Jakimś cudem – uśmiechnęła się skrzepowana do adwokatki.

– Na pewno dowie się, że jej zeznania pani pomogły, Leno.

– Powiedział, że mnie zniszczy, jeśli pójdę z obdukcją do sądu.

– Nic się takiego nie wydarzy. Teraz to on ma problemy i będzie zniszczony... Przynajmniej wizerunkowo. Sprawa o pobicie jest w toku. Wiem, że to potrwa, ale najważniejsze, że dziś odzyska pani nazwisko i oddech.

Lena kiwnęła głową, choć miała wrażenie, że jej ciało zaraz się rozpadnie. Odwróciła wzrok.

Oddech – jakby to było takie proste.



Sala rozpraw była zimna, jakby ktoś specjalnie otworzył okno, żeby przypomnieć ludziom, czym jest rzeczywistość. Sędzia czytał paragrafy monotonnym głosem. Światło z wysokich okien padało prosto na twarz Leny, przez co czuła się jak przesłuchiwana, choć to ona była ofiarą.

Po drugiej stronie siedział James Carrington – w drogim garniturze, z nieco rozwichrzonymi włosami i tym samym, pogardliwym półuśmiechem.

Był spokojny. Zbyt spokojny. Lena знаła ten stan.

Zawsze taki był po kokainie. Sztywny, sztucznie skupiony, jakby jego ciało próbowało udawać, że panuje nad sobą. Widziała to po rozszerzonych źrenicach, po drganiu kącika ust. Pewnie znowu wydał na nią z pół tysiąca w jeden weekend.

Gdy Lena poruszyła się niepewnie w ławie, James uśmiechnął się pod nosem. Z tym samym cynicznym wyrazem twarzy, który widziała, gdy upadała na podłogę po jego ciosie. Wtedy też się uśmiechał.

– Jeszcze kilka minut i będzie po wszystkim – szepnęła Samantha. – Proszę się nie odzywać, nie reagować.

Sędzia mówił coś o „trwałym rozkładzie pożycia”, o „braku szans na pojednanie”. Słowa odbijały się od Leny jak od szkła. W głowie miała obrazy: tłukąca się szklanka, krzyk małego Noaha, jej rozbita warga, i James, stojący nad nią z butelką whisky w dłoni. Kiedyś mówił, że nie potrafi żyć bez niej. Potem udowodnił, że nie potrafi żyć z nią – trzeźwy.

– Czy pani Lena Smith Carrington podtrzymuje pozew o rozwód? – zapytał sędzia.

– Tak, Wysoki Sądzie – odpowiedziała jej pełnomocniczka Samantha Hale.

– Panie James Carrington, sąd odrzucił pana sprzeciwiw... Adwokat panu źle doradził. – Sędzia Atenborrow westchnął i zdjął okulary. – Po takim pobiciu kobiety... a szczególnie żony, będzie pan, panie Carrington, potrzebował cudu, żeby z tego wyjść, ale to nie moja pozycja prawna... Uzasadniam swoją decyzję o odrzuceniu jakiegokolwiek sprzeciwu. I... – odwrócił głowę w stronę powódki – życzę pani, pani Smith... – zapauzował, ze specjalnym naciskiem na nazwisko – żeby sprawa o pobicie potoczyła się po pani myśli.

James zaśmiał się krótko.

– W tym kraju facet nie ma nic do gadania? To niedpusz...

– Zgłoszone zostały dowody przemocy domowej – przerwał sędzia spokojnie. – Opinia biegłego, zeznania świadków, dokumentacja fotograficzna. To wystarczy, panie Carrington.

– Bzdura – syknął James. – Przewróciła się jak zwykle... Łajza. A teraz udaje ofiarę. To wszystko kłamstwa!

Lena drgnęła. Samantha położyła jej dłoń na ramieniu.

– Proszę się nie odzywać – szepnęła.

– To, co się wydarzyło, ma potwierdzenie w faktach i czeka pana kolejna rozprawa – ciągnął sędzia. – Wysoki Sąd uznaje, że dalsze trwanie małżeństwa zagraża bezpieczeństwu powódki oraz małoletniego Noah Carringtona. Orzeka rozwód z winy pozwanego.

Zapadła cisza.

Trzy słowa: „z winy pozwanego”.

Wystarczyły, by James poczerwieniał na twarzy. Poprawił krawat, a potem spojrzał na nią z tą znajomą, lodowatą pogardą.

– Gratuluję, kochanie – powiedział, nachylając się lekko przez ławę. – W sam raz na święta. Jeszcze odbije ci się to czkawką – warknął. Jego wzrok nie opuszczał Leny.

Sędzia spojrzał surowo.

– Panie Carrington, proszę zachować powagę.

– Jasne, Wysoki Sądzie. Wesołych Świąt – rzucił z ironicznym uśmiechem.

– Panie Jamesie Carrington, ma pan coś jeszcze do powiedzenia... zabawnego?! – Atenborrow został wyprowadzony z równowagi.

– Nie mam nic do dodania – rzucił ironicznie, jakby to wszystko naprawdę go bawiło.

Sędzia uderzył młotkiem, kończąc rozprawę.

– Koniec – powiedziała Samantha, zamykając teczkę. – Proszę, wychodzimy, zanim on...

Nie zdążyła dokończyć.

Drzwi sali otworzyły się z hukiem.

James stał w progu, czekając na nią, a jego oczy błyszczały jak stal. Zaciskał szczękę, ręce miał w kieszeniach płaszcza, ale Lena wiedziała, że to tylko pozory spokoju. Zawsze tak wyglądał tuż przed wybuchem.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem, Leno – powiedział cicho, głosem, w którym drżała furia, kiedy go mijały.

– Panie Carrington, proszę się odsunąć – Samantha stanęła między nimi.

– Ty się, kurwa, zamknij! – warknął i pchnął byłą żonę ramieniem.

Lena cofnęła się, ale James był już przy niej. Chwycił ją za przedramię z taką siłą, że aż jęknęła.

– Myślisz, że ode mnie się odchodzi? – syknął. – Ode mnie? Jego twarz była tuż przy jej. Czuła zapach whisky.

– Miałas nowe życie, bo ja ci je dałem! I mogę ci je zabrać.

– Puść mnie! – krzyknęła.

Samantha rzuciła się między nich.

– Wystarczy! Zostawi pan ją natychmiast albo wzywam policję!

James drgnął, spojrzał na adwokatkę i zaśmiał się krótko.

– Policję? Myśli pani, że mnie to obchodzi? Mam w rodzinie sędziów, pani Hale. Wszyscy będą się śmiać, jak się dowiedzą, że bronisz histeryczki z obdukcją po pijackiej kłótni, kiedy rzucając się do mnie z łapami, spadła ze schodów!

Lena zadrżała.

Zobaczyła w jego oczach ten sam obłęd, który widziała tamtego wieczoru, gdy ją pobił do nieprzytomności. Wtedy też był na prochach. Biała gorączka.

– Panie Carrington! – rozległ się głos ochroniarza, który wyszedł za nimi z sali rozpraw.

James puścił ją gwałtownie.

– Jeszcze się policzymy, suko – syknął, odwracając się i odchodząc w korytarz prowadzący do wyjścia z budynku sądu.

Samantha przytrzymała Lenę, która osunęła się na ławkę.

– Oddychaj, dziewczyno... Głęboko. Już po wszystkim.

– N-nie, pani Hale – szepnęła Lena. – To dopiero się zacznie. On nie odpuści.

– Zrobił to publicznie, przy ochronie. Ma pani świadków. Dziś składałam wniosek o zakaz zbliżania się.

– On zawsze znajdzie sposób.

– Nie tym razem. Proszę mi zaufać – spojrzała jej głęboko w oczy. – Będzie nakaz. Prawo jest po pani stronie, Leno.

– Prawo? – Lena uniosła wzrok. – On śmieje się z prawa. Dla niego to gra.

Samantha przyklękała przy niej.

– Wiem. Ale teraz to pani trzyma karty. On ma sprawę karną o pobicie. To już nie jego świat – tylko nasz.

– Będzie robił wszystko, żeby ją odroczyć.

– Być może, ale... kiedyś go dopadniemy. Proszę się zdać na mnie w tej kwestii.

Lena skinęła głową.

Kiedy wyszły z budynku, śnieg zdążył przykryć chodnik grubą warstwą. Ludzie szli pośpiesznie, z pochylonymi głowami. Świat toczył się dalej, jakby nic się nie stało.

– Proszę jechać do matki – powiedziała Samantha, zatrzymując taksówkę. – Dobrze, że zdecydowała się pani z nią zamieszkać, tam będzie pani bezpieczna. Ja wszystko załatwię. I proszę

powiedzieć pani Klarze, że ma się teraz cieszyć córką i wnusiem. Jak ona się ma? Jak wypadły badania?

– Dziękuję... – Lena przełknęła ślinę. – Ostatnie wyniki nie są dobre. Ataki wracają, a chemia... coraz częściej mama ląduje w szpitalu. Ale walczymy. Ona nie potrafi się poddać.

– I bardzo dobrze. Pani też tego nie zrobi.

– Nie mam wyboru.

– Właśnie dlatego pani wygra. – Samantha Hał uśmiechnęła się i wsunęła teczkę Lenie do torebki. – Świeta już za tydzień. Może wreszcie będzie spokojne.

Lena skinęła głową.

– Spokojne... – powtórzyła, choć obie wiedziały, że to tylko słowo, które może nie mieć nic wspólnego z prawdą.

Uścisnęły sobie dłonie, po czym Lena przywołała taksówkę. Wsiadła do niej, kurcząc się na tylnym siedzeniu, a kiedy samochód ruszył, odwróciła się przez ramię. W oddali, przy wejściu do sądu, wciąż stał James. Palił papierosa, patrząc prosto na nią. Śnieg osiadał na jego płaszczu, a on się uśmiechał – tym swoim obłąkanym, zwycięskim grymasem.

Lena poczuła, jak coś ściska ją w gardle.

Nie. To nie był koniec. Ale teraz potrafiła się bronić.



Dom matki pachniał lekami i herbatą imbirową z cytryną. Lena wciągnęła ten zapach od razu po przekroczeniu progu – znajomy, kojący i jednocześnie bolesny, bo przypominał, że nawet tu, wśród ścian z dzieciństwa, nic już nie było takie jak dawniej.

W przedpokoju stały te same, wysłużone pantofle jej matki. Te same zdjęcia w ramach wisiały na ścianie. A jednak wszystko wyglądało jak cień – jak odbicie dawnego domu, w którym ktoś zgasił światło.

Noah przepchnął się obok niej, z plecakiem przewieszonym przez ramię.

– Babciu! – zawołał, wbiegając do salonu. – Przywiozłem ci rysunek!

Klara siedziała w fotelu, owinięta kocem. Uśmiechnęła się, kiedy go zobaczyła, ale Lena od razu zauważyła drżenie jej dłoni, kiedy wzięła rysunek od wnuka.

– Mój mały artysto – powiedziała cicho, otwierając ramiona. – Chodź do mnie.

Noah wspął się na kolana babci i zaczął opowiadać, co narysował: choinkę, anioła, i coś, co miało przypominać ich troje trzymających się za ręce. Kobieta patrzyła na rysunek z uśmiechem, który ledwo utrzymywał się na jej twarzy.

Lena podeszła do stolika, na którym leżały pudełka z lekami. Znała je wszystkie. Wiedziała, co każda z tych nazw oznacza – toksyny w walce o kilka dodatkowych dni, miesięcy, może rok. Na kuchennym blacie stał termos z herbatą i miska z zupą, już zimną.

– Znowu nic nie jadłaś? – spytała, choć odpowiedź znała.

– Nie miałam apetytu.

– Mamo...

– Leno, nie zaczynaj. Mam dość, jak ktoś liczy, ile łyżek zjadłam.

– Martwię się.

Klara spojrzała na nią z ciepłym, ale zmęczonym uśmiechem.

– Ty się o wszystkich martwisz. O mnie, o Noah... nawet o tego potwora, który cię prawie zabił.

Lena zamarła.

– Nie mów tak.

– A jak? – zapytała Klara spokojnie. – Myślisz, że nie wiem, co się działo? Myślisz, że te siniaki znikają same?

– To już przeszłość.

– Nie, dziecko – odparła cicho. – To blizna. Z czasem przestajesz ją czuć, ale nigdy nie zapomnisz, skąd się wzięła.

Lena odwróciła się do okna. Za szybą wirował śnieg.

– Uwolniłam się od niego.

– To najlepsze, co mogło nas spotkać od dłuższego czasu – dodała matka i pochyliła się, by zerknąć na wnuka.

Noah siedział teraz na podłodze i rozstawiał klocki, z przejęciem budując coś, co miało przypominać dom.

Z popiołów – pomyślała. *On też próbuje odbudować świat po burzy.*

Więcej nie rozmawiały na ten temat. Wymieniły kilka słów, po czym Lena namówiła Klarę na odrobinę odgrzanej zupy, którą nakarmiła też synka. Popołudnie przebiegło im na oglądaniu telewizji, a w zasadzie matka drzemała w fotelu, a ona pozwoliła sobie na całkowite pozbycie się myśli z głowy. Udało jej się obejrzeć nawet nową ekranizację powieści Mary Shelley *Frankenstein* na jednej z platform filmowych, którą opłacały specjalnie dla mamy.

Wieczorem, kiedy Noah zasnął, Lena przykryła go kocem i cicho zamknęła drzwi do pokoju. Klara siedziała w kuchni przy kubku melisy. Włosy, niegdyś ciemne, teraz przyprószone były srebrem i wyraźnie zmniejszyły swoją objętość.

– Pani Hale dzwoniła – powiedziała do córki, siadając na przeciw. – Odebrałam za ciebie, bo uznałam, że to coś ważnego. Sąd już wystawił tymczasowy zakaz zbliżania się.

– Bardzo szybko się uwinęła – odpowiedziała.

– I co to znaczy? – Klara była wyraźnie zmartwiona.

– Że James nie może zbliżyć się do mnie ani do Noah na mniej niż trzysta metrów.

– A jeśli to zlekceważy?

– Wtedy pójdzie siedzieć.

Klara uśmiechnęła się lekko.

– Nie wierzę, że taki człowiek może bać się prawa.

– Też w to nie wierzę – odparła Lena. – Ale muszę udawać, że jest inaczej.

Zapadła cisza.

Zegar na ścianie tykał powoli, rytmicznie, jakby odliczał nie sekundy, a wspomnienia z tych szczęśliwych dni w tym domu, bez Jamesa, bez choroby i z ojcem Leny, który odszedł sześć lat wcześniej, dostając rozległego wylewu.

– Wiesz, co jest najgorsze? – odezwała się w końcu Lena. – Że nawet teraz czuję jego głos w głowie. Te słowa. Te wszystkie upokorzenia. Jakby jeszcze tam był.

Klara spojrzała jej prosto w oczy.

– Bo jeszcze tam jest, Leno. Ale z czasem przestanie mówić. Musisz tylko pozwolić, żeby w to miejsce zagościło coś innego.

– Co?

– Cokolwiek chcesz. Byle twoje.

Późnym wieczorem Lena wyszła na ganek.

Dom leżał na skraju Brooklynu przy Autumn Avenu, gdzie światła latarni kończyły się nagle, a tuż obok rozprzestrzeniał się niewielki lasek. Właśnie ze względu na to położenie, jej rodzice piętnaście lat temu kupili ten dom, zaciągając kredyt hipoteczny na dwadzieścia lat. Zostało jeszcze, a może tylko pięć i dom

będzie należał tylko do nich. Chciała stworzyć w nim dla Noaha szczęśliwe dzieciństwo.

Śnieg sypał powoli, miękko, przykrywając ślady na ścieżce.

Spojrzała w górę. Czuła w piersi zmęczenie, ale w jej sercu zaczęła kiełkować nadzieja, choć wiedziała, że James nie zniknie z dnia na dzień. Ale w tej chwili, wśród ciszy i padających na jej dłonie płatkom, mogła wreszcie wziąć głęboki oddech i nie bać się, że ktoś go jej odbierze.

Wróciła do środka. Klara już spała, a w kuchni żarzyła się lampka z pochłaniacza nad palnikami.

Lena nałala sobie herbaty i oparła łokcie o stół.

Z kuchennego radia cicho płynęła stara kolęda.

Za tydzień miała być Wigilia.

Spojrzała na choinkę, którą widać było z kuchni, z papierowymi ozdobami, które Noah zrobił w przedszkolu, zanim go z niego po prostu wyrzucili, kiedy James przestał płacić za niego chesne. Zamrugła, próbując nie zapłakać. Musiała znaleźć jak najszybciej nowe, ale dopiero po kolejnej wypłacie. *Jeszcze tydzień* – pomyślała. I tydzień, żeby uwierzyć, że jej życie jak świat potrafi się odrodzić.



Była piąta trzydzieści rano, kiedy Lena otworzyła oczy. Nie potrzebowała budzika. Ciało samo nauczyło się budzić, kiedy od kilku lat wstawiała o tej samej porze do pracy w Klinice św. Patryka graniczącej z Central Parkiem na Manhattanie. Miejsce dla bogatych osób – starszych – zmagającymi się z przeróżnymi chorobami, które towarzyszą osobom w tym wieku. Zaczęła tam pracę zaraz po studiach. Była najlepszą studentką pielęgniarstwa i wystawione jej referencje, pozwalały na uzyskanie tam etatu. I tak poznała Jamesa Carringtona. Jego matka – Mathilde – trafiła do kliniki po przejściu zawału. Kobieta zmagала się jeszcze jakiś czas z depresją. Lena była jej pielęgniarką. Straciła głowę dla jej syna, a już po roku wzięli ślub. Jej mąż nie chciał, by pracowała w klinice, a teściowa gardziła nią od samego początku, gdy tylko zaczęła nad nią opiekę w placówce. Lena podejrzewała, iż kobieta nie przyjmowała dobrze swojej choroby, uważała, że to upokarzające, żeby ktoś się nią musiał zajmować. Nienawidziła poczucia utraty kontroli... jak jej syn James.

Lena otrząsnęła się ze wspomnień i wstała z łóżka. W domu panowała cisza. Śnieg za oknem tłumił dźwięki ulicy, a zimne światło z latarni sączyło się przez firankę. Panował chłód – oszczędzały na ogrzewaniu, więc narzuciła na siebie gruby sweter i poszła do kuchni. Postawiła wodę na gazie. Gdy czajnik zapiszczał, zrobiła sobie kawy i zaczęła kroić chleb. Zrobiła cztery podwójne kanapki – jedną dla Noaha, jedną dla Lucy – córki sąsiadów, z którą jej syn ostatnio spędzał bardzo dużo czasu – jedną dla siebie, którą pewnie zje w biegu, między jednym a drugim pacjentem

kliniki oraz dla mamy. Na stole położyła też plasterki jabłka na talerzyku, owinięte w folię, żeby nie ściemniały.

Przysiadła na moment na krześle i dopiła kawę. To był jedyny moment dnia, kiedy czuła spokój – te kilka minut ciszy, zanim świat się obudzi.

Zerknęła na zegarek. Szósta.

Z pokoju obok słysząc było cichy kaszel matki. Klara nie spała. Lena podeszła do jej sypialni i uchyliła drzwi.

– Mamo, nie wstawaj – powiedziała szeptem. – Zrobiłam śniadanie. Idę obudzić Noaha, za pół godziny przyjdzie Maya i zabierze go do siebie.

Klara otworzyła oczy.

– Uważaj na siebie, dziecko. I ucałuj ode mnie małego.

– Zrobię to. A ty zjedz śniadanie mamo, dobrze? Zupa jest jeszcze w lodówce. Zadzwoń do Mayi, przyjdzie do ciebie, kiedy jej mąż wstanie po nocnej zmianie. I nie zapomnij, że masz wziąć od dziś podwójną dawkę leków.

– Tak, pani doktor – uśmiechnęła się do córki.

– Pa, nieusłuchańcu. – Lena zamknęła drzwi i poszła obudzić synka.

Kiedy już go oporządziła, posadziła przy kuchennym stole. Oczy miał jeszcze lekko zaspane.

– Jestem śpiący, mamusiu – ziewnął.

– Wiem, skarbie, ale nie możesz zostać z babcią. Zrobiłam kanapki – tak jak lubisz, z serem i odrobiną musztardy.

– A dla Lucy też zrobiłaś?

– Jasne. – Lena wsunęła je do jego plecaka. – Powiedz jej, żeby zjadła całą.

Noah kiwnął głową, a potem dodał:

– Ona mówi, że ty robisz najlepsze na świecie.

Lena uśmiechnęła się cicho.

– To dlatego, że wkładam w nie sekretny składnik.

– Jaki?

– Troskę.

– To troska smakuje jak szynka? Bo tak mówi Lucy, że je szynkę.

Jadła ser z musztardą, choć jej rodziców było stać na chlebek z szynką.

– To znaczy, że mam dobry gust – odparła z udawaną powagą i założyła mu czapkę.

Zerknęła przez okno.

Śnieg wciąż padał. Na chodniku pojawiła się znajoma sylwetka – Maya szła przez ich podjazd w czerwonej czapce. Mieszkała z mężem i córeczką w domu obok. Lucy od kilku miesięcy coraz częściej chorowała, miała bardzo ciężką astmę i nie chodziła do przedszkola – jej dni mijały między inhalacjami, lekami i krótkimi chwilami, gdy mogła wyjść na podwórko. Mimo to była pogodna, rozgadana, a Noah traktował ją jak najlepszą przyjaciółkę.

Kiedy Maya weszła do środka, strzepując śnieg z kurtki, Lena od razu zapytała:

– Jak dziś Lucy?

– Lepiej – odparła kobieta. – Dostała nowy inhalator, łatwiej jej oddychać. Noc była spokojna.

– Dobrze słyszeć. Niech odpoczywa.

– Odpoczywa, ale jak zobaczy Noaha, to i tak nie będzie chciała siedzieć w miejscu – zaśmiała się przyjaciółka.

Noah wybiegł do przedpokoju i zarzucił na siebie kurtkę.

– Gotowy!

– Ciii, babcia jeszcze poszła drzemać! – zgaśniła go Lena. – No i kazała dać ci dużego buziaka. – Cmoknęła chłopca w policzek.

– Jak się czuje? – zagaіła Maya.

Lena spojrzała bokiem na Noaha i z powrotem na Mayę, kręcąc głową. Jej mama słabła z każdym dniem.

– Przykro mi, kochana. Ale bądźmy dobrej myśli.

– Tak. Musimy – dodała i odprowadziła ich do drzwi, po czym uściskała mocno synka.

Gdy już wyszli, podążyła za nimi wzrokiem przez okienko w drzwiach. Patrzyła, jak Maya trzyma chłopca za rękę, prowadząc go ścieżką między zaspami. W śniegu zaczynało odbijać się blade światło poranka.

W mieszkaniu znów zapadła cisza. Poszła do swojego pokoju i przygotowała się do pracy. Zeszła po kwadransie i w przedpokoju zapięła płaszcz, zgarnęła torbę i wyszła w zaśnieżony świat. Kiedy szła na przystanek autobusowy, w końcu przestało padać, a popiełate niebo ustępowało pierwszym promieniom słońca. Każdy krok po zmarzniętym chodniku odbijał się echem.

Nowy dzień. Nowa rzeczywistość, tylko ona czuła się staro. Kobieta po przejściach.